

JAK TRAFIŁEM NA KURS W MOSKWIIE?

Spośród licznych hejtów, jakie napotykam ze strony propisowskich wojowników, jest też ten o moim kursie operacyjno-strategicznym w Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie w 1987 roku, który rzekomo ma jakoś strasznie źle o mnie świadczyć. Co bardziej usłudni propagandyści, by wykazać jeszcze większe zło, dodawali, że kurs ten był... osłaniany przez GRU (rosyjski wywiad wojskowy), jakby w jakimkolwiek państwie służby specjalne nie osłaniały uczelni wojskowej szkolącej obcokrajowców. O innych hejterskich podchodach już tutaj wcześniej pisałem, jak np. o pochodzeniu Szoguna (<https://koziej.pl/wp-content/uploads/2023/01/SZogun.pdf>) lub niezrealizowanej chęci zostania oficerem politycznym (<https://koziej.pl/wp-content/uploads/2023/10/Jak-nie-zosta%C5%82em-oficerem-politycznym.pdf>). Pora więc opowiedzieć choć trochę, jak to naprawdę było z tym moskiewskim kursem.

Opowieść ta musi zacząć się jednak sporo wcześniej. Otóż dla mnie przełomowym momentem w całym moim życiu publicznym był wybór Polaka, Karola Wojtyły na papieża w 1978 roku i pierwsza jego wizyta jako Jana Pawła II w Polsce w 1979 roku oraz będący jej konsekwencją wybuch Solidarności w 1980 roku. Wcześniej żyłem wyłącznie sprawami zawodowymi, tj. wojskowymi, no i oczywiście rodzinnymi, a także sportowymi. Nie zajmowały mnie w ogóle inne, ogólniejsze sprawy, w tym polityka. Naturalnie w wojsku w PRL było też trochę teatrum politycznego w postaci działalności partyjnej (partia etatowo funkcjonowała w wojsku), ale wszyscy – może poza najbardziej zideologizowanymi politrukami - traktowaliśmy to jako coś nudnie obowiązkowego, ale marginalnego, coś sztucznego i prawdę mówiąc udawanego, choć niejako rutynowo przyklejonego do służby wojskowej. Polityka w wojsku wtedy to było coś zupełnie nie angażującego intelektualnie, co trzeba było od czasu do czasu odbębnić uczestnictwem w beztreściwych zebraniach partyjnych.

Wizyta Jana Pawła II pokazała mi, że obok wojska istnieje jeszcze coś większego - naród z jego prawdziwymi, a nie tylko partyjnie sztampowymi, emocjami patriotycznymi. To poczucie zostało wielokrotnie spotęgowane przez narodowy zryw prowadzący do powstania Solidarności. Pamiętam z jakimi wypiekami służyłem w samochodowym radiu chyba gdzieś w okolicach Garwolina pierwszych informacji o strajku w Stoczni Gdańskiej, gdy wracaliśmy z rodziną z wyjazdu w Lubelskie.

Wszystko to przeżywałem służąc już w Sztabie Generalnym WP, dokąd właśnie w 1978 roku jako młody doktor nauk wojskowych zostałem ściągnięty z Akademii Sztabu Generalnego WP (podejrzewam, że z racji – jak to wówczas mówiło się – „lekkiego pióra”; byłem już wtedy autorem wielu publikacji na tematy wojskowe). Służyłem w Zarządzie I Operacyjnym, a konkretnie w jego Oddziale I

Planowania Strategiczno-Obronno. Moim bezpośrednim przełożonym był szef tegoż oddziału płk Ryszard Kukliński, znany potem szeroko agent wywiadu amerykańskiego, mistrzowsko wręcz ulokowany w najbardziej newralgicznym oddziale Sztabu Generalnego WP. Wbrew twierdzeniom niektórych jak zwykle raczej słabo zorientowanych hejterów medialnych nie zajmowaliśmy się tam bynajmniej opracowywaniem planów operacyjnych agresji na NATO. Od tego był inny, sąsiedni oddział Zarządu I, tzw. „za kratkami”, ze względu na dodatkową, nadzwyczajną ochronę jego tajności. My odpowiadaliśmy za sprawy strategiczne: przygotowywanie polskiej doktryny strategicznej (w postaci tzw. „Węzłowych założeń obronnych PRL”, które były tajnym odpowiednikiem dzisiejszej strategii obronnej i polityczno-strategicznej dyrektywy obronnej), opiniowanie projektów różnych strategicznych dokumentów Układu Warszawskiego, wieloletnie programy rozwoju Sił Zbrojnych, wymagania obronne wobec układu pozamilitarnego oraz polityczno-strategiczne relacje Wojska Polskiego z UW (w tym m.in. obsługa udziału władz polskich w posiedzeniach Doradczego Komitetu Politycznego UW oraz Komitetu Ministrów Obrony UW).

Burzliwy czas Solidarności wprowadził ożywienie także do życia wojskowego, w tym jego warstwy politycznej, nawet w Sztabie Generalnym. Ożyły też zebrania partyjne, które do tej pory jedynie teoretycznie były platformą do rozmów i dyskusji o wszystkich, w tym trudnych, sprawach pozasłużbowych, jakimi żyje środowisko wojskowe. Teraz zaczęły stawać się nią realnie. Właśnie na tych zebraniach – w obecności „wierchuszki” Sztabu Generalnego, gen. F. Siwicki był członkiem Podstawowej Organizacji Partyjnej naszego pionu operacyjnego - zacząłem wygłaszać coraz bardziej „obrazoburcze” tezy i propozycje dotyczące krytyki postępowania władz państwa i partii oraz konieczności ich współpracy z Solidarnością: „Solidarności nie trzeba się bać, z nią trzeba poważnie rozmawiać i respektować ją”. Wchodziłem na zebraniach w bezpośrednią polemikę z szefem Sztabu Generalnego, gen. F. Siwickim, co z jednej strony wywoływało ciche, nieformalne poparcie, uznanie i gratulacje kolegów, a z drugiej - oficjalne i głośne oburzenie niektórych członków partii.

Szybko, bo już na początku 1981 roku zostałem przez przełożonych uznany za „człowieka Solidarności”, a nawet za „wtyczkę” lub co najmniej „tubę” Solidarności w Sztabie Generalnym (co nie było prawdą, z Solidarnością praktycznie nie miałem żadnych kontaktów), kogoś zagubionego politycznie i element niepewny. W wyniku tego postanowiono wysłać mnie ze Sztabu Generalnego na tzw. praktykę do sztabu 11 Dywizji Pancerniej w Żaganiu. Uratowała mnie przed tym „cicha” opinia większości kadry pionu operacyjnego wyrażająca w analizach tzw. „nastrojów” krytykę takiego zamiaru jako służbowego karania kogoś za poglądy, gdy tymczasem partia głosiła, że za poglądy się nie karze. Jak po latach dowiedziałem się, wstawiał się za mną też mocno szef płk R. Kukliński. Sam w indywidualnych rozmowach przyznawał mi rację, ale na zebraniach partyjnych „siedział cicho” (co mnie trochę dziwiło, ale co okazało się potem zrozumiałe, skoro był agentem). Odstąpiono więc od tego planu, ale jednocześnie zostałem odsunięty od udziału w najważniejszym i najtajniejszym zadaniu mojego szefa, jakim było – jak później się zorientowałem – przygotowanie planu stanu wojennego. Odsunięcie od ważnych spraw szefa było dla mnie bolesne, ponieważ wcześniej byłem bardzo bliskim jego współpracownikiem, w sprawach merytorycznych wręcz prawą ręką, razem opracowywaliśmy wszystkie

najważniejsze dokumenty oddziału – różne wystąpienia ministra obrony i szefa Sztabu Generalnego, projekt Węzłowych Założeń Obronnych PRL, czy wieloletnie prognozy rozwoju sił zbrojnych.

Po paru miesiącach, zapewne wraz z konkretyzowaniem się planu wprowadzenia stanu wojennego i koniecznością utrzymania tego w tajemnicy oraz wobec braku u mnie „poprawy” zdecydowano się jednak usunąć mnie ze Sztabu Generalnego i skierowano na praktykę (staż) do sztabu 15 Dywizji Zmechanizowanej w Olsztynie na stanowisko szefa Wydziału Operacyjnego. Warto zauważyć, że była to dywizja skadrowana i nie mająca żadnych istotnych zadań na czas stanu wojennego. Tam, w Olsztynie, zastał mnie stan wojenny. Uważałem go i uważam do dziś za błąd ówczesnej władzy. Po latach, w 2005 roku, w bezpośredniej korespondencji z gen. W. Jaruzelskim, będącej następstwem jego gratulacji dla mnie z okazji objęcia stanowiska wiceministra obrony w pierwszym rządzie PiS, ocenę utraty szansy dla Polski w wyniku stanu wojennego wyraziłem następująco:

„... Utraciliśmy ją przez własne błędy, których zwieńczeniem stał się nieszczęsny stan wojenny, a nie z powodu tzw. obiektywnej niemożliwości. Warunkiem koniecznym, ale i wystarczającym jej zmaterializowania się była jedność narodu. Konkretnie jedność Solidarności, Kościoła, Wojska Polskiego i aparatu państwowego (o partyjnym chyba lepiej nie mówić). Jestem przekonany, że w razie osiągnięcia takiej jedności nie była możliwa wojskowa interwencja radziecka. Mielibyśmy oczywiście do czynienia z ogromną presją psychologiczną i ekonomiczną. Agresja zbrojna na taką Polskę byłaby jednak dla Związku Radzieckiego aktem strategicznego i politycznego samobójstwa. Nie wierzę, aby nawet tak krytycznie oceniane dziś kierownictwo schyłkowego ZSRR było na tyle naiwne, aby wierzyć w pożyteczność dla swojego państwa zbrojnej napaści na dużą skalę w środku Europy.

Gdybyśmy zatem byli wówczas razem, moglibyśmy budować Polskę po swojemu: zgodnie z duchem Solidarności i jednocześnie z literą międzynarodowej roztropności. Niestety – ówczesna władza, z Panem Generałem jako jej uosobieniem, i Solidarność z Panem Lechem Wałęsą nie zdały egzaminu. Myślę, że obydwu stronom zabrakło wyobraźni, a władzy ponadto jeszcze zabrakło wewnętrznej siły i odwagi, Solidarności zaś – mądrości i rozważli. Szkoda. I nic już tu nie zmieni wzajemne obciążanie się winą. Chociaż, moim zdaniem, logika podpowiada, że większą za to odpowiedzialność muszą jednak ponosić i brać na siebie profesjonalne władze państwa, a nie emocjonalny ruch szlachetnych amatorów politycznych i strategicznych...”

W Olsztynie dotarła do mnie informacja o tym, że bardzo przeze mnie ceniony i wręcz lubiany mój szef płk R. Kukliński (zadedykowałem mu swoją pierwszą książkę jako „najlepsze szefowi z szefów”) był agentem wywiadu amerykańskiego, co było dla mnie i nie tylko dla mnie ogromnym szokiem. Po roku służby w 15 DZ już nie wróciłem do Sztabu Generalnego. Trafiłem ponownie do ASGWP na to samo stanowisko, z którego 4 lata wcześniej odszedłem. Poświęciłem się pracy naukowej, zrobiłem habilitację, pisałem książkę i trochę niespodziewanie awansowałem na zastępcę szefa Katedry Taktyki Ogólnej. W związku z „afetą” płka R. Kuklińskiego – jak później się dowiedziałem – byłem cały czas (także w późniejszych latach) pod czujnym okiem ówczesnych służb specjalnych.

I raptem latem 1987 roku – jak grom z jasnego nieba gruchnęła propozycja i decyzja kadrowa: skierowanie do Wrocławia na stanowisko szefa Oddziału Operacyjnego w Sztabie Śląskiego Okręgu Wojskowego (etat generalski!).

Przejmowałem obowiązki od mojego kolegi ze szkoły oficerskiej gen. B. Balcerowicza, późniejszego rektora AON, a w następnym roku zdawałem gen. Cz. Piątasowi późniejszemu szefowi Sztabu Generalnego. Moimi przełożonymi we Wrocławiu byli też późniejsi szefowie Sztabu Generalnego gen. T. Wilecki i gen. H. Szumski. Śląski Okręg Wojskowy był wówczas kuźnią dla najwyższych kadr w Wojsku Polskim. Osobiście bardzo wysoko cenię sobie służbę na stanowisku szefa Oddziału Operacyjnego Śląskiego Okręgu Wojskowego, a także armii pancerniej wydzielanej na czas wojny z tego okręgu. Wspólnie z gen. T. Wileckim, doświadczonym praktykiem i doskonałym generałem „polowym” (niestety nie poradził sobie potem na „salonach politycznych”), prowadziliśmy bardzo wiele różnorodnych ćwiczeń dowódczo-sztabowych i poligonowych, w których mogłem wdrażać i weryfikować moje wcześniejsze koncepcje i pomysły akademickie.

Jeszcze większą sensacją było jednoczesne z awansem do Wrocławia skierowanie mnie jesienią 1987 roku na trzymiesięczny tzw. Wyższy Kurs Akademicki (problematyka operacyjno-strategiczna) w Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR im. K. Woroszyłowa!!!! To były kursy dla najwyższej i perspektywicznej kadry dowódczo-sztabowej państw Układu Warszawskiego. Byłem tam w całej polskiej grupie w zdecydowanej większości generalskiej najmłodszym wiekiem oficerem – pułkownikiem. Trafiliśmy w Rosji na bardzo ciekawy czas: reformy Gorbaczowa, pieriestrojka i zmiana doktryny Układu Warszawskiego z ofensywnej na obronną. Wykładowcy robili wrażenie zagubionych w tej jakościowo nowej dla nich sytuacji politycznej, strategicznej i operacyjnej. Na gorąco zmieniali całe strony we wcześniejszych skryptach i założeniach do ćwiczeń. Nawet nie za bardzo potrafili odpowiadać na nasze pytania i wyjaśniać oraz uzasadniać zmiany doktrynalne. Dla nas była to dobra – bo nie rutynowa i schematyczna, ale analityczna i na gorąco twórcza – szkoła operacyjno-strategiczna w warunkach nowej doktryny obronnej Układu Warszawskiego.

No i teraz próba odpowiedzi na początkowe pytanie: dlaczego ni z tego, ni z owego, jako ostentacyjny krytyk rzeczywistości politycznej lat osiemdziesiątych, znalazłem się na tym kursie. Otóż moja hipoteza jest następująca. Przypuszczam, że już w 1987 roku kierownictwo państwa z gen. W. Jaruzelskim na czele podjęło decyzję albo co najmniej bardzo poważnie brało pod uwagę przyjęcie kursu na porozumienie z Solidarnością i doprowadzenie do politycznej zmiany w Polsce, by wyjść z permanentnego i beznadziejnego kryzysu, co zrealizowano w praktyce za dwa lata w postaci porozumień Okrągłego Stołu i wyborów w 1989 roku. Zakładając taką zmianę zaczęto zapewne zawczasu rozglądać się także w Wojsku Polskim za ludźmi, którzy mogliby być z jednej strony wiarygodni dla Solidarności i z drugiej - zdolni do przeprowadzenia wojska przez spodziewane bardzo poważne zmiany polityczne i doktrynalne. Tak być może, biorąc pod uwagę moje „rewolucyjne” poglądy i zachowania w Sztabie Generalnym, a także dorobek naukowy w zakresie sztuki wojennej, zapadła też decyzja o wyciągnięciu mnie z akademickiego zapomnienia i kadrowej zamrażarki.

To moja hipoteza, nie pewność. Może ktoś kiedyś ją zweryfikuje np. badając zasoby archiwalne Wojskowego Biura Historycznego.

=====